

TEKST I ZDJĘCIA:
AGNIESZKA REZLER

Przejrzysty

Tego domu nie urządzą meble. Można zaryzykować opinię, że bez nich byłby równie piękny. Kreuje sam siebie – poprzez przeszklenia, prześwity, grę światłem i urodę szlachetnych materiałów. A do tego prowadzi bardzo przyjazny dialog z urzekającym otoczeniem.

Wokolicy obfitującej w dworkowe rezydencje jest odmieńcem: nowoczesny, pozbawiony dekoracyjnych detali, nakryty w części płaskim, a w części kolebkowym dachem, wygląda niezwykle. Ale nie razi – flirtując z modernizmem bryle dodaje lekkości ciekawe ukształtowanie. Uskokami ścian zgrabnie omijają wiekowe brzozy, a elewację ożywiają nietypowe przeszklenia i poddachowa drewniana oblicówka o odcieniu miodu.

Tuż przed progiem kolejne zaskoczenie: zamiast solennych drzwi wejściowych, traktowanych zwykle jak wyraźna bariera prywatności – lekkie skrzydło, przeszklone „po amerykańsku” od góry do dołu. I oczywiście żadnej sieni. Widok przez drzwi wejściowe sięga przeciwległej ściany domu, z jadalnią i sąsiadującym z nią kominkiem. Jeszcze bardziej „widokowa” jest druga, poprzeczna oś budynku: tu z tarasu można zajrzeć do wnętrza przez ogromne przeszklenie o powierzchni ponad 17 m², ukazujące salon, kuchnię i jadalnię, a w głębi, za nimi – kolejny niewielki tarasik od północnego wschodu. Ten otwarty układ nie dziwiłby w rezydencji położonej na dwuhektarowej posesji. Tu – na 700-metrowej działce – miło zaskakuje.

Dom jest pełen śmiałych rozwiązań i widowiskowych efektów, znanych przeciętnemu Polakowi głównie z pism wnętrzarskich. I rzeczywiście, powstawał według projektu indywidualnego. Ale już finansowe zaplecze inwestycji nie odbiegało od polskiej normy. Zbudowano go siłą jednej, a właściwie dwóch rodzin,

Drewniana oblicówka w górnej strefie ścian obniża dom, wprowadzając poziome podziały. To element charakterystyczny dla ulubionej przez domowników architektury międzywojennej. *Wypatrzyliśmy podobną na elewacji domu znajomego architekta – opowiadają – a deski z klejonego drewna, z jakiego wytwarza się profile okienne, przygotował dla nas mazurski producent okien. Fabryczne zabezpieczenie gwarantuje, że drewno nie rozeschnie się i nie odbarwi.*

Ściany zewnętrzne wzniesiono w technologii trójwarstwowej, z silikatów ocieplonych wełną mineralną. Wcześniej Maciek rozpatrywał inny wariant wykończenia – mało u nas popularną elewację z cegły betonowej. Taka ściana miałaby swoją fakturę, a spokojna szarość betonu mogła dobrze „grać” z drewnianym szalunkiem i zielenią otoczenia. Z pomysłu jednak zrezygnowano



skrupulatnie gromadząc fundusze i sprzedając dotychczasowe mieszkania. Zamieszkały w nim trzy pokolenia: Magda z Maćkiem, małżeństwo warszawiaków z trójką synów, oraz mama Maćka, dla której zaprojektowano ukryte w bryle domu, niezależne mieszkanie. Na piękną działkę na obrzeżach lasu trafili nieprzypadkowo. Okolica była im dobrze znana – rodzice Magdy 15 lat wcześniej zbudowali niedaleko własny dom. *Mnie to miejsce urzekło od pierwszej chwili – zwierza się właścicielka – był chyba koniec lata, wielkie drzewa stały całe w zieleni...* Starodrzew wokół parceli jest rzeczywiście imponujący – od zachodu do granicy działki przylega wąska aleja wiekowych lip, rozmiarami i pokrojem zasługujących na miano pomników przyrody. Na szczęście trakt, który flankują, to raczej zwirowa dróżka, niż ulica – prowadzi tylko do położonych dalej, niezabudowanych działek.

Winna wyobraźnia

Jednym z wariantów, który początkowo

braliśmy pod uwagę, było kupno domu do ewentualnej przebudowy – opowiadają gospodarze – ale szybko okazało się, że żaden nie daje możliwości wydzielenia odrębnego mieszkania dla mamy. Skoro pozostało budowanie od podstaw, warto było wykorzystać szansę. Włączyli więc do projektu własne pomysły, ale też rozwiązania podpatrzone w miejskich dzielnicach willowych o dobrej architekturze, na wakacyjnych wyjazdach czy u znajomych. Stąd

Obok widok na salon i fragment antresoli. Schody (na dolnym zdjęciu) owinięta wstęga betonowej balustrady. Podłużne, biegnące po tuku schodki (u góry na sąsiedniej stronie) wyodrębniają z przestrzeni parteru strefę wypoczynku. Odnalazły się też jako element funkcjonalny. *Kiedy wpadają znajomi, rzucam na nie poduchy, siadamy i plotkujemy – zeznaje pani domu.* Różnica poziomów ogranicza wizualnie przestrzeń, ale w przeszklonym dwukondygnacyjnym salonie to nie o nią toczy się gra. Tu walczy się raczej o wrażenie przytulności – w tę ideę schodki wpisują się znakomicie





prosta modernistyczna bryła budynku, drewniany szalunek elewacji, a we wnętrzu – dwukondygnacyjny salon z otwartą antresolą, obniżony w stosunku do pozostałej części parteru o dwa stopnie. Skomplikowany projekt rodził się długo. Nie wszystkie propozycje architekta były przyjmowane drogą zgodnej akklamacji. Aż dziw, że po domu tego nie widać – jest spójny, konsekwentny i przejrzysty. Decyzje zapadały pod wpływem dość nieskrępowanych wyobrażeń o przyjaznej

Otwartą antresolę (na dolnym zdjęciu po lewej), z której można oglądać salon i sklepiony sufit w całej okazałości, pomyślano jako ostoję cichej pracy i wypoczynku. Prowadzi do niej wąska galeria, a obrys jej krawędzi powielił linię schodków na parterze, oddzielających salon od pozostałej części dziennej domu. U dołu po prawej widoczne nietypowe rozwiązanie przestrzenne – prywatną strefę nocną gospodarzy (sypialnię z łazienką i garderobą) wydzielono za pomocą ścianek nie sięgających stropu, żeby nie zamykać widoku na jego malownicze uźebrowanie. Za przeszkleniem z prostokątnych luksferów (w głębi, za schodami) mieści się wnęka natryskowa małżeńskiej łazienki



przestrzeni mieszkalnej. Stąd w domu różnice poziomów i wiele nietypowych okien, z wielkim przeszkleniem na ścianie salonu w roli głównej. Według Maćka, te „erupcje wyobraźni” bardziej świadczyły o jej braku; fantazyjne zabiegi przestrzenne skłonny jest przypisywać raczej niewiedzy i naiwności. Wszystkie niestandardowe rozwiązania kosztowały i... kosztują, choćby w postaci monstrualnych rachunków za olej opałowy po pierwszych sezonach grzewczych. Dziś do budynku, podobnie jak do sąsiednich posesji, doprowadzono już nieco tańszy gaz.

Lamigtówka

Proces projektowy przypominał rozwiązywanie rebusu. Wydane przez gminę warunki ograniczały możliwość zabudowy do 30% powierzchni parceli, co dawało ok. 200 m². Na takim polu musiał się zmieścić dom (łącznie z podjazdem i tarasami), a w nim, na samym tylko parterze: duży salon i jadalnia, kuchnia ze spiżarnią, toaleta oraz samodzielne, około 70-metrowe mieszkanie dla mamy.

Na tym chłonność dolnej kondygnacji się skończyła; pozostałe pomieszczenia – sypialnia gospodarzy, pokoje ich trzech synów oraz dwie łazienki – musiały wywędrować na piętro. W dodatku miała je uzupełnić planowana, dość przestronna otwarta antresola. Zadanie komplikował też dwukondygnacyjny, sięgający dachu salon, który siłą rzeczy wydarł piętru kilkadziesiąt metrów przestrzeni. Jakby rebusów było mało, mieszkanie mamy miało zachować całkowitą odrębność, łącznie z osobnym wejściem z ogrodu i własnym tarasem.

Architekt złożył więc dwurodzinny parter z dwóch odwróconych do siebie „plecami”, niezależnych mieszkań. Nawet tarasy, choć rozległe, „nie widzą się”, zapewniając wiele prywatności. A przy tym każdy z nich łapie sporą dawkę słońca. Zaprojektowano też piwnicę – dużą, pod całą powierzchnią domu. Ponieważ przy budynku nie ma garażu ani zaplecza gospodarczego, wszelkie sezonowe graty lądują dziś pod ziemią. A jest co przechowywać: starsi synowie jeżdżą na nartach, pływają na desce i na małej łódce regatowej – samych butów narciarskich uzbierało się kilka pudeł. Na górze, w pokoju 13-letniego Antka

i tak z trudem mieszczą się puchary zdobyte w regatach i zawodach. W podziemnej kondygnacji zmieściła się też kotłownia z pralnią i niewielki „samodzielny” pokój z własną łazienką, doświetlony pasem okien umieszczonych pod sufitem.

Poniżej salonik w mieszkaniu mamy z wyjściem na własny taras od południa. Na dolnym zdjęciu – perspektywa parteru widziana z jadalni. Na tej osi widokowej dom otwiera się na przestrzał – w głębi widać przeszklone drzwi wejściowe. Na pierwszym planie prosta „dwutraktowa” kuchnia, za nią widoczna przechodnia spiżarnia





Ogromne przeszklecie (po lewej) otwiera parter na ogród. Olejowane dębowe drewno świetnie rozumie się ze złocistym marmurem ze Sławniowic (na górnym zdjęciu). By uniknąć pałacowej pompatyczności, wybrali niewielkie kwadratowe płytki. *Kiedy znajomi słyszeli, że planujemy marmurową posadzkę, pomrukiwali znacząco* – wspomina Magda – *myśleli pewnie, że zamarzyło nam się salonowe zadęcie. Tymczasem chodziło o coś wręcz odwrotnego*. Sławniowice Złociste są przy tym bajecznie łatwe do utrzymania w czystości. Nie chwytają kurzu, a w razie potrzeby gospodyni zmywa je wodnym roztworem szarego mydła – legendarnego Białego Jelenia



Krecia robota

Wiosną 2002 roku, tuż przed

narodzinami najmłodszego syna, szufle i łopaty poszły w ruch. Roboty prowadziła ekipa chłopców spod Myszyńca, pracowitych, uczciwych i myślących. Grunt był trudny, miejscami piaszczysty, miejscami ścisły i gliniasty; wody podskórne podchodziły wysoko. Piwnicę wykonano w formie hydroizolacyjnej wanny, wypełniając wodoszczelnym betonem stalowe szalunki systemowe, co pozwoliło nie wykańczać ścian od wewnątrz – surowy gładki beton ma swoją urodę. Ściany piwniczne ocieplono styropianem i obmurowano cegłą betonową, przygotowując w ten sposób podwalinę pod zewnętrzne przegrody trójwarstwowe z silikatów. Prace nadzorował kierownik budowy, emerytowany inżynier. Przed zimą udało się wyprowadzić „na wyżyny” ściany i stropy. Nieosłonięte dachem, musiały poczekać na drewniane elementy konstrukcyjne do wiosny.

Ostre dachowanie

Zadaszenie głównego trzonu budynku

zaprojektowano jako łukowatą „kolebkę”. Takie przekrycie wspiera się na wielkich półkolistych dźwigarach z klejonego warstwowo drewna, zwanych przez cieśli krążynami. W owym czasie w kraju produkowano je tylko w dwóch miejscach: w Toruniu i Szczecinie. Promień krzywizny zaprojektowanych dźwigarów okazał się nietypowy, co w połączeniu z wysokim stopniem skomplikowania elementów wydłużyło nieco okres oczekiwania. Gdy krążyny, fabrycznie zabezpieczone powłokami ochronnymi, wreszcie dotarły, robotnicy uwinęli się z nimi w oka mgnieniu. A przecież to nie fraszka – każdy z łukowych dźwigarów był znacznie dłuższy, cięższy i potężniejszy, niż belka na prostą więźbę. *Byłam zdumiona* – wspomina Magda – *Osadzili je na dachu w dwa-trzy dni, używając wyłącznie linek i ręcznego podnośnika*. Na wierzchu rozłożono folię wiatroizolacyjną, a na niej pełne deskowanie na drewnianym ruszcie,



klejone nie wypala się szybko. Ponieważ dźwigary są potężne – każdy z nich miał pierwotnie przekrój szerokości 14 cm – tak skromny uszczerbek nie osłabił ich nośności, zwłaszcza że jako pokrycie „kolebki” przewidziano bardzo lekką blachę płaską. Pozostał problem, co z tym zrobić: odeskować krążyny, czy je ostrugać? Stańto na struganiu. Robotnicy zdjęli z dachu ułożone wcześniej warstwy, po czym demontowali krążyny po jednej i zestrugiwali spaleniznę.

Ładny profil w cenie

Przed zamknięciem stanu surowego pałecz-

kę od dotychczasowych wykonawców przejęła ekipa górali. Ledwie skończył się przestój spowodowany remontem nadpalonego dachu, rozpoczął się kolejny: poszukiwanie okien. Problemów nastęrczało

ogromne przeszklenie w salonie, złożone z siedmiu dużych szklanych modułów.

Profile, oferowane przez producentów okien drewnianych, były szerokie i masywne; odbierałyby wnętrzu światło, a oknu – urodę – opowiada Magda – przy tak dużej powierzchni szklenia nikt nie chciał zaryzykować pojedynczych zespolonych elementów.

Proponowano nam przeszklenie złożone z zestawionych ze sobą okien, co podwajało grubość profili. Braliśmy nawet pod uwagę wąskie ramy z szarego matowego aluminium, które na komputerowych wizualizacjach dobrze harmonizowały z architekturą. Jednak z bliska mogłyby wyglądać zbyt chłodno.

Po długich poszukiwaniach znaleźli niewielki rodzinny zakładzik na Mazurach, koło Pisz. Właściciel z miejsca zaproponował własne rozwiązanie, w dodatku skuteczne: wielkie okno funkcjonuje bez zarzutu, a przy tym

pokryte papą termozgrzewalną. Od wewnątrz przestrzeń między krążynami wypełniła wełna mineralna. Po trudach stanu surowego dom w końcu zaczął przybierać finalną formę.

Wtedy zadzwonił telefon – Magdę złapał w pracy rozgorączkowany sąsiad: *Państwa dom się pali! Proszę szybko wzywać straż, bo ja nie mogę się do nich dodzwonić.* Maciek pracował tego dnia poza biurem i był nieuchwytny, przerażona Magda rzuciła więc wszystko i zawisła na telefonie. *Wykręcam numer straży pożarnej w naszej gminie*

– opowiada – *a tam... włącza się faks! W końcu udało mi się wewzwać straż z sąsiedniej dzielnicy. Przyjechali po 20 minutach, a ja tuż po nich. Weszłam do środka – i się rozplakałam.* Dach od wewnątrz wyglądał jak pogorzelnisko; kosztowne, pięknie wykończone krążyny szerniały na węgiel.

Prawdopodobną, choć do dziś nieustaloną przyczyną pożaru, mógł być nieostrożnie odstawiony palnik do zgrzewania papy. Być może to od niego zajął się wystający fragment folii dachowej. Jeśli płomień złapał tworzywo, ogień błyskawicznie rozniósł się po całym dachu. Płonęła folia, płonęło deskowanie, paliły się też dźwigary.

Na szczęście skutki nie były tak katastrofalne, jak mogłoby się wydawać. Fachowa ekspertyza wykazała, że ogień spenetrował konstrukcję na nie więcej niż 3-4 mm – zabezpieczone drewno



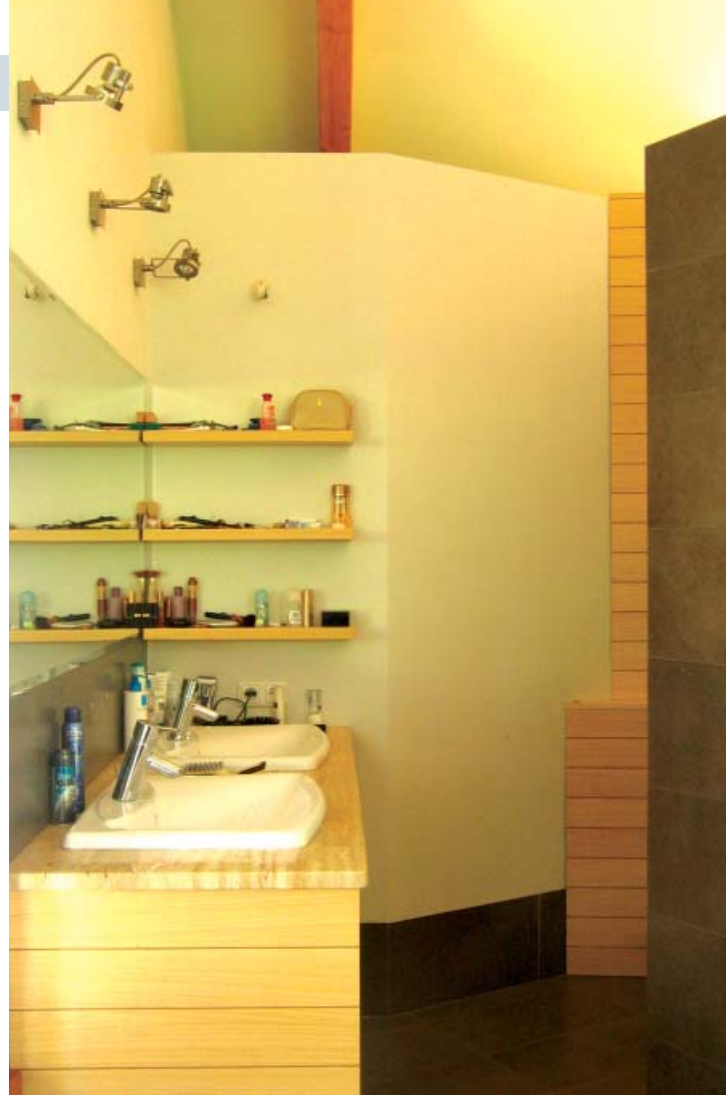
Funkcjonalnym atutem domu jest to, że chłopcy mają własną odrębną część mieszkalną na piętrze: trzy jasne pokoje z pełnym „węzłem sanitarnym”. Na górnym zdjęciu detal łazienkowej ściany. Powyżej – fragment ładnej granatowo-białej chłopięcej łazienki. Ograniczenia techniczne nie pozwoliły na wykonanie minimalistycznego otwartego natrysku z odpływem w podłodze; brodzik czeka naabinę.

Na zdjęciach po prawej – kolorowa bawialnia pięciolatka. Wszystkie wnętrza na piętrze są doświetlone poziomymi pasami przeszkleń pod sufitem. Pokoje chłopców mają dodatkowo własne wyjścia na niewielkie balkоники. Poszukiwania odpowiednich balustradek jeszcze trwają. Mimo pięknych widoków, balkоники nie wytrzymają z pewnością konkurencji z ogrodem; pozostanie im rola urozmaicenia elewacji





Na antresoli,
w prywatnej strefie
gospodarzy – pełna otwartość.
Widoczną na zdjęciach łazienkę
wydzielono z podłużnej
małżeńskiej sypialni, podobnie
jak garderobę po drugiej
stronie pomieszczenia. Obie
nie zostały zamknięte drzwiami:
ostaniają je niepełne ścianki,
zakończone kilkadziesiąt centymetrów
pod sufitem. Prosty ascetyczny
natrysk ukryty jest za załomem ściany;
przeszklenie z luksferów oddziela go od holu
na galerii piętra. Gdy w łazience pali się
światło, rozjarzony szklany prostokąt widziany
z parteru wygląda jak abstrakcyjna dekoracja



zachowało smukłe profile, o co
w przypadku drewna niełatwo.
Zestaw okien dotarł u progu zimy.
Gdy je montowano, pianka uszczelnia-
jąca prawie zamarzała – było kilka kre-
sek poniżej zera, o włos od granicy
technicznej dopuszczalności montażu.
W międzyczasie rozpoczęto już nawet
prace instalatorskie i tynkowanie – na
szczęście okna pozwoliły zamknąć dom
i zabezpieczyć dobytek.
Budynek został okablowany z rozma-
chem; instalację elektryczną wykonano
bez zarzutu i udokumentowano za po-
mocą zdjęć zgranych na płytę.

Klient wybiera sam

Po zatynkowa-
niu instalacji
przyszła czas
na posadzki. Na piętro wybrali szerokie
sosnowe deski. Po jednokrotnym olejo-
waniu powierzchnia podłogi wydała się
jednak zbyt delikatna – sosna to mięk-
kie drewno; zwykle fachowcy za najod-
powiedniejsze dla niej wykończenie

uznają lakier. Kolejne olejowanie
wzmocniło jednak powłokę ochronną,
nadając deskom nieznaczny półmatowy
połysk – na pierwszy rzut oka trudno
zgadnąć, czym je zabezpieczono.
Na parterze – poza salonem i mieszka-
niem mamy, gdzie podłogi wyłożono
olejowanym parkietem dębowym – kró-
luje piękny miodowy sławniowicki
marmur. *Wypatrzyłam go u przyjaciółki*
– opowiada gospodyni – *znalazłam*
punkt sprzedaży, który sprowadzał płytki
do stolicy, odwiedziłam go, przyglądam
się... to zupełnie inny kamień – szaro
użytkowany, smutny i ponury. Upewniła
się nawet, czy to na pewno Sławniowi-
ce Złociste. Nie inaczej; właścicielka
sklepu zdradziła jej jednak, że pod jed-
ną nazwą handlową występuje wiele
odcieni kamienia – wszystko zależy od
złoża, do którego akurat dokopią się
kamieniarze. Można zamówić, ale efekt
nie będzie pewny; lepiej pojechać.
No, dobrze – Sławniowice leżą pod sa-
mą czeską granicą, 600 km od Warsza-
wy. Wiosenna wycieczka mogłaby być
piękna, bo rejon malowniczy. Tyle że
o 14⁰⁰ kamieniołom zamykają na cztery
spusty. Magda z Maćkiem wyjechali

więc o drugiej w nocy, żeby zdążyć do
zakładu na siódmą rano. Tam przez kil-
ka godzin, razem z pracownikami ma-
gazynu, przeczyszczyli hałą przekłada-
jąc przyzmy płytek, aż uzbierali 700 czy
800 sztuk w złocistym – jak w nazwie
– odcieniu. *Kiedy wreszcie skończyliśmy,*
nie mogłam się wyprostować – śmieje
się Magda – dobrze, że wzięliśmy robocze
rękawice. Płytki są ostre – można pociąć
sobie dłonie. Po ułożeniu posadzki oka-
zało się, że było warto – rodzimy mar-
mur, niespotykane ciepły w wyrazie,
złoci się na podłogach parteru, a po
jego powierzchni błędzą słoneczne
refleksy.

Miło popatrzeć

Dziś brakuje
jeszcze wykoń-
czenia detali, ale dom podoba się chyba
każdemu, kto przekroczy próg. Jak nie-
mał wszystkie „pierwsze domy”, ma
kilka mankamentów funkcjonalnych.
Być może nawet zbyt wiele; ryzyko by-
wa wszak kosztowne. Jednego nie moż-
na mu odmówić: wspaniale wkompono-
wał się w tradycyjne w wyrazie oto-
czenie, stając się jego awangardą w naj-
lepszym architektonicznym znaczeniu.